

MICHAŁ
ORGANIŚCIAK



POŁAWIACZE
SUNU

fabryka słów®

WARSZAWA

PODZIĘKOWANIA

Zacząć muszę oczywiście od Iwony Szałuckiej – kochanie, dziękuję Ci za to, że czytałaś wszystkie rozdziały, dzieliłaś się uwagami i wspierałaś mnie w całym tym procesie twórczym.

Dziękuję organizatorom wszystkich konkursów, w których brałem udział, oraz wszystkim, którzy nauczyli mnie pisać na kursach pisarskich – w szczególności Małgosi, Mariuszowi, Kubie, Marcie i drugiej Marcie.

Szczególne podziękowania kieruję do moich koleżanek i kolegów z grupy Twarde Pióra – przede wszystkim: Weroniki Mathii, Łucji Piziorskiej, R.A. Olka, Agnieszki Stanisławek-Pilewicz – za to, że byliście ze mną, gdy ten tekst rodził się w bólach (często dużych). Dziękuję też tym, którzy dołączyli później: Michałowi Wierzbie, Marcinowi Malcowi oraz Krzysztofowi Kouyoumdjianowi.

Dodatkowe podziękowania należą się wszystkim, którzy poświęcili swój czas, by przeczytać mój tekst, albo po prostu trzymali za mnie kciuki: Indze Organiściak, Danielowi Olszewskiemu, Annie Rychlickiej, Konradowi Klepackiemu, Tomkowi Świdzińskiemu, Adamowi Kosiorowski, Marcie D. Woźniak, Piotrowi Wojnarowiczowi, Uli Słoneckiej, Piotrowi Sokołowskiemu, Tomaszowi Skupieniowi, Bartłomiejowi Lewandowskiemu, Ewie Czajce, Magdalenie Miko, Annie Rozenberg, Kajetanowi Szokalskiemu, Aleksandrze Fajdzie, Mateuszowi Markowi, Michałowi Appelowi, Andrzejowi Kwietniowi („kulturalnie”), Joannie Madajczak, Katarzynie Kamienieckiej...

Nie dziękuję swojej licealnej polonistce :P



O ba księżycy wisały wysoko nad polaną, w koniunkcji, co zwykle zwiastowało manifestację szalonej magii. Marten nie wierzył jednak w szaloną magię, a jedynie w taką, za którą stał narkotyk. Pachniało przeoraną, mokrą ziemią, mżyło; wielkie krople wody zawieszały się na długich źdźbłach trawy. Nisko wiszące chmury były gęste i tak ciemne, że sprawiały wrażenie teatralnej dekoracji. Marten, oficer marynarki Koralowego Lorda, czuł, jak mięsień w prawej łydce drży mu nieznosnie. Było zimno, a on był na głodzie.

Musiał. Protokół bardzo dokładnie określał, co jest dozwolone, a co zakazane podczas pojedynku.

Sekundanci sprawdzili pistolety, następnie sędzia wygłosił zwyczajową formułę:

– Panie Wład, jestem zobowiązany przypomnieć, że jako żądający satysfakcji ma pan również prawo do odwołania pojedynku, nawet bez podawania przyczyny. – Głos sędziego był lekko zachrypnięty i mężczyzna co rusz pociągał nosem.

– Będziemy się strzelać – odparł Wład krótko.

– Zatem pojedynek się odbędzie. Teraz wręczę pistolety, obróćcie się plecami do siebie i na mój sygnał każdy z was przejdzie dwadzieścia kroków, ja będę odliczał. Gdy dotrzecie na pozycje, pozostaniecie odwrócenii, czekając na komendę. – Sędzia zamilkł, by kichnąć donośnie. – Wtedy możecie zwrócić się w swoją stronę. Strzelacie, kiedy zechcecie, wolno wam poruszać się w kierunku oponenta. Przegrywa ten, który nie będzie w stanie ustać na nogach. Jeśli po oddaniu pierwszych strzałów obaj, panowie, będziecie stać, za obopólną zgodą pistolety zostaną przeładowane.

Marten skinął głową, że rozumie, ze zdumieniem czując, jak nagle zaciska mu się żołądek. Rozejrzał się, jakby chciał raz jeszcze nasycić się tą chwilą. Uwiązane w pobliżu studni konie rżały. Sekundanci stali w ciasnej grupie, otuleni płaszczami wyglądali jak zjawy w ścielącej się przy ziemi mgle. Sędzia o kościstym obliczu, w siwej peruce i długiej czarnej pelerynie kojarzył się z sępem. Napięcie można było kroić.

Marten złamał daną sobie obietnicę i rzucił okiem na Celandine. Stała na uboczu, piękna i wyniosła, ale kąciki ust drgały jej nieznacznie. A może to wzrok płałał mu figle. Może chciał wierzyć, że jej zależy. Przecież to właśnie ze względu na nią znalazł się w tej sytuacji.

Resztką woli oderwał od niej wzrok i skupił się na przeciwniku. Gdyby ktoś postronny miał obstawiać wynik tego pojedynku, zapewne stawiałby na Martena: młodszego, wysokiego i dobrze zbudowanego. Spojrzenie niebieskich oczu było skoncentrowane. Nie pierwszy raz zaglądał śmierci prosto w twarz.

Jego oponent, Wład, był od niego niższy o głowę. Niewysocy mężczyźni zwykle budzą politowanie, ten był jednak niezrównanym szermierzem. Dlatego właśnie Marten zdecydował się na pistolety, które dawały mu choć cień szansy na przeżycie. Miał prawo wyboru, w końcu to Wład go wyzwał.

Jednak Marten nie mógł trafić gorzej – jego przeciwnik zarabiał, pojedynkując się w imieniu tych, którym brakowało odwagi, a zbywało pieniędzy.

– Panowie, dwadzieścia kroków. Jeden, dwa, trzy.

We wszechogarniającej ciszy głos sędziego brzmiał donośnie jak dzwon. Marten zacisnął dłoń na kolbie. Choć wyglądał na spokojnego, z każdym krokiem czuł, jak serce zaczyna walić coraz szybciej i mocniej. Pojedynkowanie się z tym człowiekiem było szaleństwem.

– Sześć, siedem, osiem.

Kolejny raz przypomniał sobie plan. Gdy się obróci, będzie ich dzielić czterdzieści kroków – za daleko na pewny strzał. Tak właśnie najłatwiej zginąć, bo gdy chybi, Wład podejście do niego i zastrzeli go z przystawienia. Kto wie, może złośliwie wyceluje w brzuch, by mieć pewność, że Marten zginie w męczarniach.

– Dwanaście, trzynaście, czternaście. – Głos sędziego dobiegał zza pleców. Marten dostrzegł po swojej prawej stronie łysą głowę chirurga z „Negry”, który zgodził się asystować przy pojedynku. Być może za chwilę ten uroczy staruszek będzie starał się wyjąć mu kulę z ciała.

– Szesnaście, siedemnaście...

Ołowiana kula po trafieniu deformuje się, rozbija na mniejsze części, wpada w ruch wirowy, niszcząc tkanki, tnąc mięśnie i rozgniatając kości, a i tak ma dość sił, by wyrwać z drugiej strony wielką dziurę. Czasem odłamek może ugrzęznąć w ciele i wtedy interwencja chirurga jest niezbędna.

– Osiemnaście, dziewiętnaście...

Nagle cała panika, strach i to cholerne drżenie łydki zniknęły, a Marten poczuł, jak ogarnia go zimny spokój. Zupełnie jakby w zepsutej katarynce nagle wszystkie trybiki wróciły na swoje miejsca. Odetchnął głęboko, spokojnie, jak przed spacerem w górach. Już się nie bał; zabije tego skurwysyna albo umrze, próbując. I nic, absolutnie nic poza tym się nie liczy.

– Dwadzieścia. Poczynajcie!

Marten obrócił się spokojnie, wciąż kierując lufę w niebo.

Wład zrobił to samo – on też doskonale rozumiał, że strzał z czterdziestu kroków to czysta loteria. W końcu był profesjonalistą.

Przez dwa lub trzy uderzenia serca nic się nie działo. Marten planował stać i pozwolić, by to Wład się poruszał. Trudniej trafić, gdy jest się w ruchu. Nie spuszczał przeciwnika z oka.

Nagle usłyszał cichy krzyk. Spojrzał na Celandine, która ruszyła ze swojego miejsca. Przeklął w duchu, gdy kobieta, której uśmiech nadawał sens jego egzystencji, stanęła między nimi. Na linii strzału.

– Nie! Nie pozwalam! Przestańcie się zachowywać jak dzieci, obaj!

Sędzia drgnął. Protokół nie przewidywał takiej sytuacji. Sekundanci zamarli, a chirurg z „Negry” rozchylił usta. Wład skierował króciwą w ziemię i ruszył o krok do przodu. Marten przeciwnie – wciąż trzymał lufę skierowaną w niebo. Źle nabita kula mogłaby z niej wypaść, a tego nie chciał.

– Kochanie, wracaj na miejsce, to sprawa między mężczyznami – powiedział Wład spokojnym, wręcz rozluźnionym głosem.

Reakcja Celandine była natychmiastowa. Skuliła się i spięła ramiona, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Wciąż stała między nimi, patrząc to na jednego, to na drugiego. Potem powoli ruszyła w kierunku Martena.

Wład też zrobił krok do przodu, ale nie trzymał już pistoletu w dół, lecz celował w przeciwnika.

– Przerwijcie to natychmiast! Słyszycie mnie? Natychmiast! – Jej głos był wyższy o oktawę i brzmiały w nim nuty desperacji.

– Skarbie, pojedynek już się rozpoczął, nie możemy go przerwać. – Wład powiedział słowo „skarbie” tak, że za-

brzmiało jak obelga. Szedł w ich stronę, nadal powoli, ostrożnie. Dzieliło ich jakieś trzydzieści kroków. Jeszcze moment, a celny strzał będzie możliwy.

– Możecie obaj wystrzelić w powietrze! Marten, proszę, choć ty bądź rozsądny.

Marten był rozsądny. Doskonale wiedział, że jeśli wystrzeli w powietrze, Wład nie zawaha się ani chwili.

– Nie bądź głupia, kochanie. Jeśli strzelę w powietrze, ten twój absztyfikant mnie zabije. – Wład się zatrzymał. Wycelował w ich kierunku.

Celandine dopadła do Martena i przytuliła się, zasłaniając go.

– Błagam cię, połóż się na ziemię – wyszeptała. – Przegrasz pojedynek, ale będziesz żył.

Sięgała mu do brody. Łzy rozciągały po policzkach tusz z pomalowanych oczu. Kurczowo zaciskała na ramionach Martena palce wąskich dłoni. Drżała z zimna i strachu. Wyraźnie czuł zapach jej wody kwiatowej. Zasłaniała go, ale przecież nie całkowicie. Wtedy zrozumiał.

– Odsuń się, bo oboje... – Huk zagłuszył jego słowa. Martenem szarpnęło. Celandine wyprężyła się i opadła bezwładnie.

Przez chwilę nic się nie działo. Trzymał ją w ramionach, huk wystrzału wybrzmiał, a dym się rozwiewał. Do świadomości Martena powoli docierało, co się wydarzyło. Kula, która zmasakrowała jej głowę, jakimś cudem przeszła boki. Miał twarz zbryzganą krwią, ale żył, nawet niedraśnięty. Cała ta krew i szczątki były jej.

Gardło mu się zacisnęło. Nie mógł wydobyć słowa. Kobietę, z powodu której się strzelali, zwiśla teraz martwa w jego ramionach.

Wład patrzył na niego z szeroko otwartymi oczami. Jeśli to, że właśnie z zimną krwią zabił żonę, zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie, to nie dał tego po sobie poznać.

Jeden z sekundantów ruszył w ich kierunku, ale stanowczy głos sędziego zatrzymał go w miejscu.

– Stać! Pojedynek jeszcze się nie zakończył – krzyknął i kichnął donośnie.

Marten ułożył delikatnie ciało Celandine na ziemi, wciąż nie do końca pojmując, jakim cudem przeżył. Potem spojrzał na Włada, który stał na lekko rozstawionych nogach, z wciąż dymiącą króciwą w dłoni. Dzieliło ich może dwadzieścia pięć kroków, odległość, z której można się pokusić o celny strzał.

Marten nie miał jednak zamiaru ryzykować. Ruszył powoli w kierunku Włada, wciąż kierując króciwą w górę.

– Nie pozbędziesz się mnie, Marten, słyszysz? – Głos Włada był wściekły i pełen nienawiści, ale świeżo upieczony wdowiec stał w miejscu, patrząc bez trwogi w lufę broni przeciwnika. Szkoda; Marten wolałby, żeby tamten skamlał o litość albo, jeszcze lepiej, uciekł, tracąc honor, by po wsze czasy być ścigany jak pies. – Przeklinam cię. Słyszysz? Nie pozbędziesz się mnie! Dopadnę cię choćby zza grobu! – Głos męża Celandine był zimny i spokojny, brzmiała w nim determinacja, zupełnie jakby naprawdę w to wierzył.

– Niech cię Wszyscy Przeklęci porwą, Wład.

Spust króciwy był zimny, drażnił opuszek palca, gdy Marten powoli, delikatnie go naciskał. Pistolet wystrzelił prosto w twarz przeciwnika. Kula wybiła w potylicy dziurę, przez którą można by przełożyć rękę. Wład padł na ziemię jak kłoda.

Martwy.

Marten opuścił króciwą, która wypadła z jego dłoni, i przetarł twarz, rozcierając krew. Natrafił na coś, co przypominało ułamek łupiny orzecha, ale najpewniej było fragmentem czaszki Celandine. Żołądek skurczył mu się gwałtownie, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Z trudem powstrzymał wymioty.

– Marten, już dobrze, już po wszystkim. – Rozpoznał głos okrętowego chirurga z „Negry” i z wdzięcznością przyjął bu-

kłak z rumem. Pierwszy łyk uświadomił mu, że trunek za-
prawiono narkotykiem. Pociągnął dwa kolejne i nagle świat
odzyskał kolory. Westchnął przeciągle, wiedząc, że już nie
będzie wymiotował. Narkotyk był zbyt cenny. Spojrzał raz
jeszcze na ciało Celandine z absurdalną nadzieją, że może
jest jedynie ranna. Chciał ruszyć w jej kierunku, ale okręto-
wy chirurg go przytrzymał.

– Nic tu po nas, Martenie. Bocian zapewne gryzie paznok-
cie, zastanawiając się, jak ci poszło. – Głos lekko przygarbio-
nego mężczyzny wyrwał zwycięzcę z letargu.

– Myślisz, że Bociana obchodzi wynik?

– Daj spokój, kapitan traktuje cię jak syna. Chodźmy już.

Rzeczywiście, nie było już czego szukać w tym cholernym
mieście. Miał nadzieję, że „Negra” wypłynie w ciągu paru dni
w morze, zostawiając to przekłete miejsce daleko za sobą.

– Chciałbym się z nią pożegnać. – Wskazał na ciało, któ-
re jeden z sekundantów nakrył swoim płaszczem. Cholerna
mżawka przerodziła się w kapuśniaczkę, jakby samo niebo
płakało z powodu tej bezsensownej śmierci.

– Daj spokój, chłopcze. – Marten nikomu nie pozwalał
nazywać się chłopcem, ale chirurg okrętowy stanowił wyją-
tek. – Ona nie żyje. To, co tam leży, to pusta skorupa. Poza
tym – medyk zawiesił na moment głos – to nadal była jego
żona, a nie twoja. Plotki o tym pojedynku i tak pójdą w świat.
Lepiej dla twojej kariery, by nie były podsycane opowieściami
o tym, jak to chciałeś się z nią pożegnać.

Chirurg miał rację, Marten to wiedział, ale z drugiej stro-
ny nie potrafił się pogodzić z tym, że ma tak po prostu odejść.

Wsiadli do powozu ciągniętego przez kare konie. Deszcz
przybrał na sile. Koła turkotały na brukowanej drodze. Mar-
ten patrzył niewidzącym wzrokiem przez wąskie szczeliny
w burtach powozu. Całe napięcie, strach – uczucia zakotło-
wały się w jego głowie, zaklinowały i żadne nie było w sta-
nie do końca nim zawładnąć. Jakby nadmiar emocji wyprał

go z możliwości ich odczuwania, a owo „Niech cię Wszyscy Przekłęci porwą, Wład” brzmiało mu w głowie bardziej niż huk wystrzałów.

– Zaraz, to nie jest port. Dokąd ty mnie wieszysz? – rzucił Marten, gdy zorientował się, że powóz powoli wspina się pod górę.

– Zarezerwowałem małą izbę w „Półkartaunie” na wypadek gdybyś został ranny i potrzebował rekonwalescencji. Na „Negrze” nie potrafiłbyś odpocząć.

– Ale ja nie zostałem nawet draśnięty.

– Zostałeś trafiony bardzo poważnie, Marten. Nie wszystkie rany widać, a ja, wyobraź sobie, jestem lekarzem. Moim obowiązkiem jest dbanie o stan zdrowia marynarzy i oficerów marynarki Koralewego Lorda. Mam prawo dać ci urlop zdrowotny, co niniejszym czynię.

– Ale ja muszę natychmiast dotrzeć na „Negrę”! – W głosie Martena brzmiały nuty paniki.

– Spokojnie, masz. – Chirurg wyciągnął z torby małą drewnianą skrzyneczkę. Oficer natychmiast ją pochwycił, sprawdził zawartość i odetchnął. Na jego twarzy po raz pierwszy tego dnia zagościł cień uśmiechu.

– Wiem, że lubisz mieć wszystko zaplanowane. Teraz jest czas na to, żeby po ludzku popłakać. Masz trzy dni. – Chirurg przemawiał spokojnie. Przypominał mu ojca, który zginął dawno temu.

Marten jednak tylko pokręcił głową.

– Ja nie płaczę, nigdy.

– Płaczesz, każdy płacze, tylko nie każdemu cieknie wtedy woda z oczu. List, który mi przekazałeś, wyślę za ciebie, a tu masz ten drugi, który przygotowałeś na wypadek gdyby...

– Z całym szacunkiem dla twojej siwej peruki, ale nie będę płakał. Za to trzy dni urlopu chyba dobrze mi zrobią, dziękuję.

Marten odebrał zalakowaną kopertę, ucisnął prawicę lekarza i wyszedł z powozu. Deszcz padał już poziomo, gna-

ny porywistym wiatrem, który szarpał pobliskimi palmami. Marten wbiegł do gospody, pustej jeszcze o tej porze. Odebrał klucz do izby na piętrze i zamówił proste żeglarskie śniadanie oraz rum, dużo rumu. Rzeczywiście potrzebował wolnego, żeby wszystko przemyśleć.

Umył się w misce z wodą, a po chwili leżał na łóżku. Wsłuchując się w deszcz, zdał sobie sprawę, że paradoksalnie sprawy mogły jeszcze potoczyć się we właściwym kierunku, o ile niczego nie schrzani. Zabrzmiało mu w głowie to, co chirurg okrętowy powiedział o kapitanie Brunonie z Arnswalden. Oczywiście czuł, że Bocian darzy go szacunkiem, ale zakładał, że wynika to z jego pełnego oddania służbie, inteligencji i miłości, jaką obaj darzyli morze. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że cieszący się ponurą sławą kapitan może go traktować jak syna. Wszyscy wiedzieli, że Bruno wkrótce odejdzie na emeryturę – to była kwestia nie lat, a miesięcy. „Negra” będzie potrzebować nowego kapitana. To oznaczało, że miał szansę na kapitański patent. Oczywiście admiralicja mogła przekazać fregatę dowolnemu oficerowi, ale w przypadku okrętów z załogą tak dobrze zgraną jak ta preferowano awans wewnętrzny. Do tej pory Marten zakładał, że awansują Weisse’a, ale sam miał sporo uwag do talentu i umiejętności pierwszego oficera.

Ktoś zapukał do izby. Marten podskoczył, jakby obok wystrzelono z działa. Pukającą okazała się służąca z wielkim talerzem pachnącej jajecznicy. Marten nie jadł śniadania, bo pusty żołądek dawał cięń szansy na przeżycie postrzału w brzuch. Teraz był wściekle głodny. Zasiadł więc do jajecznicy, ze zdziwieniem dostrzegając, że ulewa jeszcze przybrała na sile. Wyglądało na to, że nadciąga huragan.

A niech leje, przynajmniej mam pewność, że nie ściągną mnie z powrotem na okręt, pomyślał.

Mimo wczesnej pory na zewnątrz zrobiło się ciemno. Marten rozpałił w kominku, a potem wrzucił w ogień list do Cobara. Przygotował go na ewentualność dzisiejszej przegranej. Było

tam wiele słów, które dawno powinien powiedzieć młodszemu bratu, ale nie miał ku temu okazji. Powie mu to wszystko, gdy młody wreszcie przestanie być takim cholernym dzieckiem. Pomyślał o drugim liście, tym, który teraz chirurg najprawdopodobniej wysła do Cobara. Po pierwsze chciał, żeby brat wybadał, czy Marten mógłby się zaciągnąć jako najemnik u Barona Pigmentu. W świetle tego, co powiedział chirurg, być może rozsądniejszym było przeczekanie tych kilku miesięcy, gdy Bocian wreszcie odejdzie na emeryturę. Z drugiej strony, pytając, nic nie ryzykował. Lepiej mieć dwie możliwości niż jedną. W końcu nie miał gwarancji, że zostanie kapitanem.

Cały czas starał się nie myśleć o porannych wydarzeniach, wypierał wszelkimi siłami obraz kochanki z roztrzaskaną głową.

Zdał sobie sprawę, że boi się dać sobie przyzwolenie na choćby chwilę słabości; obawiał się, że zaraz rzeczywiście woda zacznie mu cieknąć z oczu, jak to ujął chirurg. Ale obrazy i emocje powracały za każdym razem, gdy usiłował je odepchnąć. Skupił się więc na drugiej prośbie. Chciał zdobyć kilka traktatów medycznych o zerwaniu z nałogiem. Oczywiście wiedział, że zgodnie z obowiązującą wiedzą to niemożliwe. Ktokolwiek sięgnie po narkotyk, będzie go musiał brać do końca życia.

Westchnął ciężko i nagle zupełnie bez powodu powróciły wspomnienia poranka. Przypomniawszy sobie ten upiorny moment, gdy ścierał z twarzy fragmenty czaszki kobiety, której przysięgał, że ją uratuje od męża potwora..

I wtedy z oczu zaczęła mu ciec woda.

Nie potrafił sobie na to pozwolić, jeszcze nie teraz. Dlatego sięgnął po rum – nie ten z tawerny, ale ten zaprawiony sunu, magicznym narkotykiem.



Teraż mógłbym umrzeć – westchnął Cobar. Leżąca obok młoda baronówna mruknęła z aprobatą, nie wiadomo, czy zgadzając się z tymi słowami, czy pod wpływem dotyku palców prześlizgujących się po jej plecach. Leżała na brzuchu, w skopanej, wciąż pachnącej spełnieniem pościeli. Cobar z zachwytem patrzył na jej białe jak mleko ciało odziane jedynie w sięgające kolan pantaloney. Przeczesła palcami ciemne, mocno kręcone włosy i przesunęła je na lewą stronę, układając w fantazyjne fale.

Cobar ponownie przeciągnął dłoń wzdłuż jej kręgosłupa, odnotowując w myślach jej pełne satysfakcji westchnienie.

Za żadne skarby nie potrafił sobie przypomnieć, jak miała na imię.

– Jeśli mój ojciec nas nakryje, twoje życzenie może się spełnić. – Zachichotała i uniosła się na łokciu, bezwstydnie prezentując drobne, blade piersi ozdobione ciemnymi, sterzącymi sutkami.

No tak, ojciec, pomyślał Cobar, z trudem odrywając od nich wzrok. Przecież to z powodu ojca ciemnowłosej piękności, której imię nadal nawet nie świtało Cobarowi w głowie,

zawarł z nią znajomość. Baron Pigmentu, władca jednego z rozlicznych archipelagów domeny Koralowego Lorda, człowiek tyleż wpływowy, co niebezpieczny. Podobno zbierał najemników i gotów był płacić czystym złotem.

Cobar oczywiście nie widział się w roli najemnika, był zaledwie studentem prawa, czy, ściślej rzecz ujmując, byłym studentem. Co innego jego brat, szanowany oficer marynarki. To właśnie list od Martena sprawił, że dzisiejszego wieczoru Cobar zawitał na balu, który burmistrz Carrery wyprawił na cześć barona. Zabawa trwała w najlepsze i z domku gościnnego słychać było odległe wesołe odgłosy. Bal częściowo odbywał się w parku, gdzie goście mogli zaznać chwili wytchnienia po upalnym dniu. Wysypane białymi kamykami alejki rozświetlane były przez kosze ogniowe. Blask tańczył na białych marmurach licznych posągów, a wysoko w górze wciąż unosiło się kilka papierowych lampionów, które wypuszczono w powietrze na cześć dostojnych gości. Noc była jeszcze młoda, do północy brakowało co najmniej dwóch godzin. Cobar westchnął głęboko, wciągając słodkawy zapach kwiatów napływający zza okna.

– Coś się tak zamyślił? – Bładoskóra nimfa przekręciła się na wznak.

Cobar sięgnął po butelkę z winem i pociągnął spory łyk.

– Podobno twój ojciec poszukuje utalentowanych oficerów marynarki.

– Przecież ty nie jesteś żeglarzem. – Dziewczyna wbiła w niego spojrzenie.

Fakt, nie wyglądał jak wilk morski, z dłońmi nawykłymi do pióra i twarzą, na której próżno byłoby szukać śladu zarostu. Miał siedemnaście lat, znajdował się na tej magicznej granicy między wiekiem chłopięcym a męskim.

– Ja nie, ale mój starszy brat, Marten Duvallet, na pewno o nim słyszałaś, jest żywo zainteresowany ofertą twego ojca. Mogłabyś szepnąć słówko.

Wsparła się na łokciu i sięgnęła po trzymaną przez niego butelkę.

– Po to mnie tu ściągnąłeś? – Upiła łyk wina. Nim zdołał jej odpowiedzieć, popiła znowu. Tym razem czerwone wino pociekło jej z ust po śnieżnobiałej skórze szyi i zagłębieniu obojczyka wprost na pierś. Nie dał kropli dopłynąć do sutka, spił ją przy akompaniamencie śmiechu dziewczyny.

– Przyświecały mi zupełnie inne powody – odparł pomiędzy jednym pocałunkiem a drugim.

– To dobrze, bo mój ojciec nie robi z tego tajemnicy, wręcz przeciwnie, planował to ogłosić na balu. – Dziewczyna wyprężyła się, reagując na dotyk jego ust. – Powinniśmy już wracać.

Cobar przytaknął, gratulując sobie w myślach sukcesu. Zdobył informacje, o które prosił Marten, może nawet uda mu się załatwić dla niego protekcję. I jeszcze świetnie się przy tym bawił. Mógł być z siebie dumny. Wreszcie udowodni bratu, ile jest wart, zwłaszcza że ten zlecił mu jeszcze jedno znacznie trudniejsze zadanie. Z nim też się uporał – księgi, o które prosił Marten, spoczywały już bezpiecznie na stacji.

Cobar uśmiechnął się w duchu na samą myśl o minie brata. Rozejrzał się po niewielkiej izbie domku gościnnego. Jego niebieskie hajdawery leżały na dębowej podłodze, splątane z czerwoną niczym wino suknią baronówny. Czarna pończocha przewieszona przez oparcie krzesła opadała na jego prawy but, a biała bawełniana koszula z fantazyjnym żabotem zwisała z podwieszonego pod sufitem kandelabru niczym duch. Cobar wyciągnął rękę po butelkę z winem, chcąc uczcić ten jakże udany wieczór jeszcze jednym łykiem trunku.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

– Pleola, córeczko, wychodź natychmiast, ten bal jest też na twoją cześć! – rozległ się donośny męski głos.

Cobar podskoczył jak oparzony, a dziewczyna przeciwnie, zamarła, kładąc palec wskazujący na ustach. Na nic się

to zdało, ponieważ butelka wina, którą chłopak trzymał, wyslizgnęła mu się z ręki i z łoskotem rozbiła o podłogę.

No tak, Pleola, pomyślał Cobar, zeskakując z łóżka i chwytając hajdawery. Dziewczyna w tym samym momencie rzuciła się po suknię, a Baron Pigmentu załomotał pięściami w drzwi.

– Kto tam jest? Otwieraj natychmiast!

Cobar usiłował jednocześnie założyć spodnie i chwycić zwisającą spod sufitu koszulę. Spanikowana dziewczyna walczyła w tym czasie z suknią. Przez chwilę panowała cisza. Gdy Cobar zakładał prawy but, drzwi zatrzęsły się niczym uderzone taranem, ale wytrzymały.

Lewego buta nigdzie nie było. Cobar rzucił się na podłogę, by zajrzeć pod łóżko, ale znalazł tam tylko pasek. Gdy wychodził spod łóżka, dostrzegł, jak męska noga przebija się przez drzwi, wyłamując jedną z desek. Zaklął cicho, wiedząc, że jeśli go złapią, to po nim.

Widział Barona Pigmentu już na balu. Był o głowę wyższy od Cobara i znacznie lepiej zbudowany. Chłopak nie dawał sobie żadnych szans w konfrontacji z nim, zwłaszcza że, sądząc po dobiegających z zewnątrz odgłosach, do barona ktoś dołączył.

Lewy but był zaplątany w suknię Pleoli. Cobar pochwycił go i zaczął zakładać, podskakując na jednej nodze, i właśnie w tej chwili przez wybitą dziurę dostrzegł facjatę Barona Pigmentu o czerwonej z przepicia skórze i zaroście przypominającym świńską szczecinę. Cobar uśmiechnął się do niego odruchowo. Dwa uderzenia serca później ojciec Pleoli włożył mocarne ramię przez dziurę i sięgnął do zamka.

Drzwi się otworzyły i Cobar dostrzegł, że baronowi towarzyszy brat Pleoli, równie postawny. Chłopak nie czekał ani chwili – rzucił się w kierunku otwartego okna i wyskoczył na zewnątrz. To było pierwsze piętro, ale szczęśliwie niczego sobie nie złamał; przeturlał się i zerwał na równe nogi.

Pomyślał, że nawet jeśli ojciec Pleoli go nie zabije, zrobi to Marten, gdy się dowie, w jak koncertowy sposób Cobar po-grzebał jego plany.

Łudził się, że jego prześladowcy nie zdecydują się na skok przez okno. Zapewne gdyby ścigał go sam Baron Pigmentu, tak by się stało, ale jego syn nie wahał się ani chwili. Odgłos uderzenia o ziemię zgrał się z donośnym przekleństwem.

– Żebyś nogi połamał – zaklął cicho Cobar i rzucił się w kierunku majaczącej w oddali, jasno oświetlonej bramy rezydencji.

– Złodziej! Łapać złodzieja! – krzyknął z okna baron, natychmiast zwracając uwagę strażników przy bramie na biegnącego Cobara. Ten zmienił kierunek, rzucając się ku labiryntowi grabowemu położonemu na tyłach rezydencji burmistrza. Biegąc, słyszał za sobą posapywania brata Pleoli. Cobar był wprawdzie niższy, ale za to smuklejszy i zwinniejszy od swego prześladowcy, więc miał nadzieję zgubić go w labiryncie.

Tak się jednak nie stało.

– Stąd nie uciekniesz – powiedział rośli mężczyzna. Rzeczywiście, alejka, w której znalazł się Cobar, była ślepą uliczką.

Noc rozświetlały dwa księżycy, oba prawie w pełni, blisko siebie. Młody szlachcic obrócił się w panice. Czuł, jak w gardle robi mu się przeraźliwie sucho. Do brata Pleoli dołączył Baron Pigmentu we własnej osobie. Sztylety błyskające w dłoniach obu mężczyzn kontrastowały z ich ubiorem. Dawały do zrozumienia, że jego prześladowcy mają w sobie więcej z bandytów niż dworaków. Wyglądali jak para wieprzy przebranych dla hecy w dworskie stroje. Doscoczyli do niego. Cobar pomyślał, że jest za młody, żeby umierać.

– Śmierć to kwestia wyboru – powiedział baron, przykładając sztylet do szyi Cobara. Ostrze nacięło skórę i krew zaczęła cienkim strumyczkiem płynąć w kierunku śnieżnobiałego żabotu koszuli.

Nagle wszystko, co zdawało się jedynie złym snem, stało się przerażająco realne. Cobar czuł, jak drżą mu łydki. Ledwo dostrzegał w ciemności oprawcę. Jego niechlujnie założona peruka odsłoniła splątane w strąki, ciemne włosy.

– Jak się teraz czujesz, gówniarzu? Wolisz śmierć czy hańbę? – Mężczyzna skinął do stojącego obok syna. Ten zgubił gdzieś perukę, co odebrało jego wielkiej gębie ze źle zrośniętym nosem ostatnie pozory szlachectwa.

– Ja wiem, kto to jest, ojcze. To Cobar Duvallet. Od początku mi się nie podobał. – Brat Pleoli odebrał od ojca wydekoltowaną suknię ze szkarłatnego adamaszku, przeszywaną złotą nicią i ozdobioną perłami.

– Nie zasługujesz na honorową śmierć, Cobarze – powiedział starszy z mężczyzn – jednak znaj serce Barona Pigmentu, pierwszej rodziny szlacheckiej domeny Koralewego Lorda. Jeśli tylko skiniesz głową, jednym pociągnięciem ostrza oszczędzę ci hańby.

Cobar nie poruszył głową, sparaliżowany. Czuł, jak lodowa obręcz zaciska mu się na sercu. Ostatkiem dumy powstrzymywał się, by nie paść na kolana i błagać o życie.

– To tchórz, ojcze. Tchórz, fircyk i lekkoduch, szkoda dla niego brudzić stali. – Młodszy patrzył na Cobara z obrzydzeniem, po czym splunął mu prosto w twarz.

Cobar nie zareagował, czując, że najdrobniejszy ruch może go kosztować życie. Przyciśnięty do żywopłotu, myślał jedynie o nożu na szyi.

Z oddali dobiegały odgłosy wesołej zabawy.

– Rozbieraj się, gówniarzu, mamy dla ciebie lepsze wdzianko – powiedział młodszy z mężczyzn, a starszy złośliwie się uśmiechnął.

Dłoń Cobara powędrowała w kierunku pasa ze srebrną klamrą. Jeden ruch i pas wraz z szerokimi niebieskimi hajdawerami wylądował na ziemi. Ojciec Pleoli odsunął się o krok i w ślad za spodniami na ziemię trafiła biała bawełniana ko-

szula, której żabot przybrudzony był krwią. Młodszy mężczyzna rzucił w Cobara suknią i ten zaczął ją zakładać. Na szczęście nie zabrali gorsetu, bo przecież nie dałby rady się w niego wcisnąć.

Ojciec Pleoli wybuchnął śmiechem.

– Popatrz no, Yerk – zwrócił się do syna. – Z tymi loczkami i błękitnymi oczkami wygląda wypisz wymaluj jak pаниenka. Na balu zapewne niejeden przyszpili go od tyłu. Powinieneś zapaść brodę, Cobar, bo będą cię brać za kobietę.

– Lepiej mu bez niej, ojczu. Z brodą ktoś gotów byłby pomylić go z mężczyzną. Idziemy, Cobar, wracasz na bal w nowej kreacji.

Starszy z mężczyzn pchnął go bezceremonialnie i schował nóż do pochwy. Ruszyli przez parkowy labirynt w kierunku odgłosów zabawy.

Upokorzony Cobar szedł przodem, pogodzony ze swoim losem. Starał się powstrzymać łzy strachu i zażenowania. Zupełnie nie radził sobie też ze stelażem sukni. Jeśli cokolwiek wiedział o damskich strojach, to wiedza ta dotyczyła ich zdejmowania.

Alejki parkowe były kręte i ozdobione licznymi marmurowymi posążkami stojącymi na niewysokich kolumnach. Właśnie mijali posąg Verona, łatwego do rozpoznania dzięki dwóm przyrodozieniom, gdy starszy z prowadzących Cobara mężczyzn powiedział z zadumą:

– Gdy sobie pomyślę, że brat tego tu śmiecia jest jednym z najlepszych oficerów floty, to skręca mnie ze śmiechu.

Cobar zacisnął zęby tak mocno, że aż zazgrzytały, ale nie miał odwagi wypowiedzieć ani jednego słowa.

– Braciszek ze wstydu pewnie schowa się pod ziemię – wypalił na to młodszy.

Chciał coś dodać, ale nie zdołał, bo Cobar pochwycił stojący przy posągu kosz ogniowy i pchnął go w kierunku mężczyzny. Baron Pigmentu odskoczył, a Yerk wpadł na niego,

potknął się i przewrócił. Metalowy kosz spadł na jego stopę okrytą jedynie rzemiennym sandałem.

Yerk wrzasnął z bólu.

Cobar zadarł wysoko suknię i rzucił się do ucieczki. Yerk podskakiwał na jednej nodze, ale Baron Pigmentu już pędził za młodym szlachcicem. Cobar gnał i żałował durnego przyływu odwagi, który kazał mu zaatakować oprawców. Ta cholerna suknia krępowała ruchy. Obejrzawszy się przez ramię, z przerażeniem stwierdził, że baron jest zaledwie kilka kroków za nim. Poczuł lodowaty dreszcz między łopatkami, jakby sztylet już wbijał się w jego plecy.

Skręcił ostro w jedną z parkowych alejek. W pełnym pędzie wypadł na niewielki, oświetlony pochodniami placyk. Kilku mocno podpitych mężczyzn raczyło się winem z kryształowych szklaneczek. Cobar przeskoczył pomiędzy nimi, furkocząc suknię. Biegnącemu za nim baronowi podobna sztuka się nie udała. Ktoś podstawiał mu nogę.

Przewrócił się jak długi w akompaniamencie wybuchów śmiechu.

– Dobry człowieku – rzucił pijak do leżącego – gdy dama odmawia, nie godzi się jej ganiać po parkowych alejkach.

Cobar dalej pędził w kierunku muru otaczającego rezydencję.

– Dopadnę cię, słyszysz? Przeklinam całą twoją rodzinę! Dopadnę i zabiję! – wrzeszczał ojciec Pleoli.

Młody szlachcic przeskoczył mur i pobiegł co sił w kierunku Zaporcia.